



KULTURA

Kresowe Pokucie. Rzeczpospolita ormiańska

RECENZJA | Po wydaniu w 2012 roku przez Fundację Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich wspianiałym i nagradzanym albumie *Ormiańska Warszawa*, współautorka tego dzieła, Monika Agopsowicz, uraczyła czytelników kolejną niezwykłą ormiańską publikacją.

Ogólnopolska promocja książki odbyła się podczas Warszawskich Targów Książki, w ostatnim tygodniu maja. Tym razem to książka w swoim wyrazie artystycznym i formie zupełnie inna od wspomnianego albumu. Wprawdzie również bogato ilustrowana, a na dodatek wzbogacona o zapis multimedialny na załączonej płytce DVD – jednak jest to dzieło, które trudno zakwalifikować w jakimś konkretnym dziale literatury.

I bardzo dobrze, bo mimo iż wkład pracy autorki w opracowanie niezwykle bogatych źródeł, oparcie każdej myśli, każdego cytatu w konkretnych wydłużonych w archiwalnych dokumentach, rękopisach, przekazach ustnych, drukach ulotnych, prasie, wreszcie opracowaniach historycznych, jest przeogromny, a warsztat naukowy znamionuje specjalistę w tej dziedzinie (jeśli zważyć, że sam spis wykorzystanej literatury zajmuje 23 strony i zawiera blisko 500 pozycji) – to przecież *Kresowe Pokucie* w żadnym razie nie przypomina naukowej „cegły”, a wręcz czyta się tę książkę jednym tchem niczym Sienkiewiczowską prozę „ku pokrzepieniu serc”.

Nie jest to też typowy pamiętnik literacki, choć z tak wielu pamiętników i relacji ustnych autorka korzystała. Z oczywistych względów nie jest to też beletrystyka, choć i tutaj autorka – z rozsypanych po różnych zapiskach i relacjach źródeł komponując dialogi, opisy zdarzeń i ludzi – zahacza przecież zwyczajnie o literaturę powieściową.

Moim zdaniem *Kresowe Pokucie. Rzeczpospolita ormiańska* jest jednym z najpiękniejszych, jakie miałem dotąd w ręku, przykładem połączenia starormiańskiej kroniki z polską gawędą szlachecką. Swoboda narracji, skrzące się dowcipem powiedzonka, facecje, anegdoty, nie nużące przebieganie w gąszczu żywych postaci, niecodziennych imion i nazwisk, geograficznych nazw własnych dawno wyszłych z codziennego obiegu kulturowego i języka – no, może poza „...tam szum Prutu, Czeremoszu...”.

Ale właśnie... Młodzież śpiewająca przy obozowych ogniskach, że „szum Prutu, Czeremoszu Hucucem przygrywa”, w wielu wypadkach pojęcia nie miała i nie ma, na jakim to końcu świata ten Prut, i cóż to za jedni ci Huculi, i co oznaczało dla konkretnych ludzi pochodzenie z prawego lub lewego brzegu Czeremoszu.

I teraz – jest. Namacalny dowód, który przenosi czytelnika w barwny, żywy, tętniący emocjami świat. Jakże inny od naszego dzisiejszego otoczenia, a przecież tak bardzo nasz, Polską przesiąknięty do najdrobniejszej kropki krwi – choć przeciw wielokulturowy, ormiańsko-rusińsko-żydowski. Ot, europejskie „multikulti”, tyle że zbudowane przez naszych przodków trochę przed czasem.

Wedle naszych dzisiejszych wyobrażeń całe to „Pokucie” ze stoliczną Kołomyją to jakiś koniec świata. Gdzieś pewnie blisko Berydyczowa, do którego poczta nie dochodzi i nic nie pomoże wyśpiwywanie z rusińska „Kołomyja ne pomyja, Kołomyja misto” – że niby wielkie historyczne miasto.

A jednak, a przecież... Zaczyna Monika Agopsowicz tę historię od zanotowanego przez dziennikarzy i kronikarzy całej niemal Europy przyjazdu do Kołomyi Jego Cesarzkiej Mości Franciszka Józefa w roku 1880. Że odwiedzając austriacką prowincję, przez miejscowych zwaną „Golicją i Głodomerią”, będzie gościł „Najjaśniejszy Pan” we Lwowie i Krakowie, było oczywiste, ale Kołomyja...

Nie byłiby sobą bracia Ormianie – traktujący ziemię od Stanisławowa po Czerniowce niemal jak „nową Armenię” – gdyby nie wspierali ze wszystkich sił wizyty również ze stolicy Pokucia, której opis autorka przytacza za zachwyconym Kołomyją Stanisławem hr. Tarnowskim: *...nie wiedzieć czemu mówiło się o niej z lekceważeniem, jakby w niej było coś śmiesznego. Że sie ludzie śmieją z Pacanowa, to się pojmuje, skoro tam kozy kują; ale co zrobiła Kołomyja, żeby zasłużyć na złą reputację i tak świat przeciw sobie uprzedzić? ...ma ona swoje przedmieścia i dworki, w których dałoby się żyć z dala od całego małomiastewskiego ruchu i błota: powtóre, pomimo że żydów w niej niebrak jest o dziwo dość porządna i czysta, ... czystsza ... nie tylko od Bochni, ale nawet od samego Rzeszowa! ...nowsza cywilizacja porwała Kołomyję swoim prądem i dała jej kamienne chodniki, duże piętrowe domy, duże porządne gimnazjum i ratusz z wieżą, a na tej wieży coś, czego nie posiada nie tylko Bochnia i Rzeszów, ale ani Kraków ani Lwów nawet, zegar ze szklaną tarczą, za którą w nocy pali się lampa tak, że każdy zawsze może widzieć godzinę.*

Czy czujesz, drogi czytelniku, wartość tego cytatu? Wszak dalibyśmy się pokroić, że podświetlane obiekty architektoniczne to wymysł ostatnich lat, a tu masz ci – Kołomyja anno 1880 twórcą tego szlagieru. Jeszcze nie ma elektryczności, ale przecież jest lampa naftowa wyprodukowana przez lwowskiego Ormianina Ignacego Łukasiewicza i wieczorem zegar na wieży ratusza w Kołomyi świeci się i pokazuje godzinę, a we Lwowie, Wiedniu, Berlinie, Paryżu i Londynie – nie! Świat Pokucia, najdalszych południowych Kresów, tysiącem nici powiązany z rumuńską Bukowiną czy węgierskim Maramoroszem, wylania się z kart opowieści w niemal idyllicznej formie. Z cytatów, facecji, anegdot Aleksandra Agopsowicza, przekomarzań ormiańsko-żydowskich, ormiańsko-rusińskich i ormiańsko-polskich, kreśli autorka prowincjonalny, acz świadomy

swojej wartości świat, w którym wszystko jest poustawiane na swoim miejscu, wedle starodawnych porządków:

Na co dzień życie na wsi toczyło się według odwiecznego porządku wzajemnych interesów pracodawcy i pracowników. Didycz czyli dziedzic, o ile nie był to typ trwoniący majątek w kasynie lub na wyścigach, który nie prowadził leniwego życia ponad stan, a traktował swą pracę i rolę poważnie – zarządzał gospodarką. Był wykształcony, niezadko w szkole rolniczej i osobiście objeżdżał folwarki, prowadził korespondencję, składał zamówienia, wieczorami śleczął nad księgami rachunkowymi i na następny dzień wydawał dyspozycje rządcy. Czytał fachową prasę. Zdawał sobie sprawę ze złych warunków życia wieśniaków... poczuwał się do obowiązku leczenia swoich pracowników i ich rodzin – pani domu regularnie udzielała porad medycznych czy opatrywała rany. Gdy trzeba było – opłacała się lekarza.

Często w niedziele z rodziną siadał w kolatorskiej ławce w wiejskiej grekokatolickiej cerkwi zamiast jechać do dalej położonego kościoła; organizował chłopom huczne święcone na Wielkanoc; na Boże Narodzenie składał im życzenia i rozdawał prezenty; czynił honor, trzymając do chrztu chłopie dziecko. Celem niejednego ziemianina pokuckiego stało się zaszczepienie zgody, miłości, oświaty, postępu i dobrobytu. Chłop był z tego szczerze zadowolony, póki mu ktoś nie wytłumaczył, że didycz go wykorzystuje.

Ze strony na stronę, z cytatów, rozmów, dokumentów zaczyna jednak wylaniać się obraz narastającego konfliktu. Czujemy, jak idylliczny świat polsko-ormiańskiego dworu i rusińskiej wsi, trwających w zgodnej koegzystencji, powoli gaśnie i odchodzi.

Jedni i drudzy spode łba patrzyli, jak mówiono o nich gente Rutheni, nazione Poloni, bo było to dla nich irytujące, jako przejaw polskiego protekcyjnizmu, choć – jak píše Monika Agopsowicz – *...ruchy rusińskie czy ukraińskie próbowały naruszyć odwieczny porządek rzeczy na wsi, podważały prawo Polaków do sprawowania władzy, ... a jednak nie kto inny jak Polacy poczuwali się do propagowania rusińskiej kultury materialnej, do jej odradzania, wreszcie ratowania.*

To jeszcze nie jest ta groza zmian, którą później Odojewski opatrzył tytułem *Zasypie wszystko, zawieje...*, a jednak w powietrzu czuć burzę, która tymczasem objawia się w postaci I wojny światowej. Jakże inaczej widzianej z perspektywy Kołomyi. Tu przewspaniał jest „Protokół wyrażonych szkód w majątku pana Mieczysława Agopsowicza w Kułaczkowcach i Balińcach przez przejście i pobyt wojsk Rossyjskich...”.

Po wszystkich doświadczeniach

II wojny, faszyzmu i bolszewizmu, i ludobójstwa w wykonaniu UPA – nie jesteśmy w stanie uwierzyć, że coś takiego działo się naprawdę, że nawet okres władzy Ukraińskiej Republiki Ludowej na tych ziemiach (1918–1919) jawi się jako cywilizowana okupacja, wedle europejskich miar.

Tak, to był naprawdę inny świat... Jeszcze się podniósł, jeszcze euforia niepodległości i wspianiałe, cudowne dwadzieścia lat II Rzeczypospolitej, i bogactwa nacierzy, i rozwijająca się turystyka wypoczynkowa, aż po Zaleszczyki i rumuńską już Bukowinę, i tętniące życiem ormiańskie dworki, i dudniący, łomoczący podskórnie problemem ukraińskim i biedą wsi „tętniak”, który wiadomo, że będzie musiał pęknąć... Jeszcze w 1937 roku w Stanisławowie z okazji koronacji cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej (ormiańskiej) biskup tarnowski Franciszek Lisowski mówił:

– Zdrowaś Mario... – tu biskup zrobił przerwę... Wochczujń kez Mariam! Bohorodyce Diwo raduj sia Obradowannaja! – powtórzył zawołanie po ormiańsku i rusku dla podkreślenia, że oto Matka Boża gromadzi wokół siebie, w zgodzie, trzy narody i trzy obrządku: facjiński, ormiański i ruski. Ale to było już podzwonne... nie tylko dla Pokucia, dla całej wschodniej Galicji, dla Kresów, dla polskiej Polski po prostu! Jakże smutny i smętnie wieszczący stan ducha swojego przodka Kajetana Agopsowicza przywołuje na kartach książki autorka:

Kajetan, chcąc nie chcąc, zapisał się do Ligi Obrony Przeciwołtniczej i Pozarowej. Im bardziej rosło zagrożenie wojną, tym częściej przed jego oczami ukazywała się fotografia opublikowana na końcu książki o Lwowie przedstawiająca chmury nad wierchołkami drzew, a pod nimi podpis: „Chmury od Wschodu nie obiecują drzewom lwowskim pogody”.

Dokładnie tak jak zapisała inna poetka Kresów, Beata Obertryńska – *Noc nadciąga od wschodu...*

Pogoda już nie powróciła – pierwsi Sowietci i wywózki „pamieszczyców”, i pierwsze harce nacjonalistów ukraińskich, potem Niemcy, przez chwilę wydaje się, że wraca Europa, ale pozor to tylko, represje wobec Państwa Podziemnego, i szaleństwo UPA z jego kulminacją w podrozdziale Rzeź w Kutach.

I zanotowany przez autorkę namacalny dowód, jak Rosjanie, Niemcy, Ukraińcy współpracowali ze sobą w dziele ludobójstwa – *...po około tygodniowym pobycie Rosjanie nagle na parę dni opuścili Kuty. Okazało się, że dowódcą jednostki wojskowej zajmującej Kuty był Ukrainiec, z którym banderowcy „dogadali się”, by na kilka dni wycofał się z miasta i dał im wolną rękę w ostatecznym wyćpieniu Polaków. Tak też się stało. ... W tym dniu spalono ok. 30-40 domów, prawie wszystkie ormiańskie...*



Coraz smutniejszy ton i coraz czarniejsze barwy opisów tych czasów na kartach książki Agopsowiczówny – nadciąga wszak tsunami: drudy Sowietci i „koniec świata”.

Ocean pochłonął Atlantydę bez reszty... A ostatnie zdanie książki, wypowiedź ks. Filipiaka udającego się na „repatriację” – *Żegnając nasz przepiękny kościół Stanisławowski, o mało serce nie pękło mi z żalu* – sprawia, że teraz nasze kresowe serca pękają, bo wiedzieć, co się straciło, boli jeszcze bardziej.

Prof. Andrzej Zięba napisał w przedmowie: *Rzeczpospolita ormiańska na Pokuciu przeminęła na zawsze...*, aż żal, że trzeba iść na przód, że odpocząć nie można.

Owszem trzeba iść naprzód, ale w plecaku od teraz mamy mocny „wiatyk” – *Kresowe Pokucie*, która to praca w wykonaniu Moniki Agopsowicz, jak to lapidarnie, acz głęboko prawdziwie ujął Zięba: *jest literackim ujęciem systemu zbiorowego pamiętania. A ta pamięć jest nam i idącym po nas pokoleniom niezbędna, aby i o pomnikach naszych dziejów nie napisał ktoś kiedyś, że:*

...jeszcze ich czas nie zagryzł, a już je niepamięć zniszczyła”.

Rację niewątpliwie ma prof. Zięba, gdy pisze: „przeminięła na zawsze”, tamtego czasu i ludzi wszak nic nie wróci, jednak póki pamięci, póty jest nadzieja, że pobratymczy naród ukraiński, zwrócony ku Europie w atmosferze współpracy, zgody i miłości – przekreśli w swojej pamięci historycznej czarną noc ludobójczego barbarzyństwa, a odnajdzie w swojej kulturze piękne przykłady współbywania i współtworzenia na jednej ziemi wielu różnych ludów.

Póki naszej pamięci, zawsze będzie możliwe, że kiedyś nasze prawnuki usłyszą „szum Prutu i Czeremoszu”, i zbudują nową Rzeczpospolitą Pokucką w pokoju i przyjaznych relacjach z potomkami jej dzisiejszych mieszkańców.

Bo inaczej – po cóż byłaby ta pamięć nam potrzebna... Moniko – gratuluję i dziękuję za ten wspianiał dar. Stawiam ten tom obok „Nareka” i Vincenza, na tej półce, do której łatwo sięgnąć ręką – bo *Kresowe Pokucie* trzeba przeczytać nie raz, nie dwa, nie trzy...

Bogdan Stanisław Kasprzowicz

